

WYCIECZKA DO BRETRANII.

Słońce jesienne łagodnym światłem oświetlało horyzont, kiedy zbliżaliśmy się do Duarnenez (1). O kilkaset kroków od celu naszej podróży, widok dzwonnicy w Ploaré (do którego parafii liczy się Duarnenez) zatrzymał naszą uwagę.

Jest to budynek w stylu gotyckim, z jednej sztuki kamienia, który sięga XVI wieku; dzwonnica bowiem nosi datę z 1555 roku. Łódki i ryby rzeźbione, jakie ją przyozdabiają, wskazują, że fundatorami jej byli rybacy. Wszyscy okoliczni mieszkańcy przyłożyli się do budowy tego małego arcydzieła, przez ofiary lub własną pracę; kobiety nawet brały czynny udział, pod kierunkiem jednego magnata z Paut-Croix. Wnętrze straciło na swym wdzięku przez pobielenie murów i pstroczinę ołtarzy i sklepienia. Kiedy przybliżaliśmy się do wielkiego ołtarza, towarzyszył mi Robert ścisnął mi rękę z wzruszeniem i cofnął się zdumiony szczególnym widokiem; ujrzał bowiem mężczyznę i kobietę, którzy zdawali się być najmniej stuletnimi starcami: ubiór ich, wiek przeszły przypominał.

Kobieta miała strój wieśniaczki, ale twarz jej musiała być kiedyś cudnie piękną, zanim ją zmarszczki poorały. Mężczyzna przybrany w ubiór francuzki, białe włosy miał związane z tyłu czarną wstążką, jak szlachcic z czasów Ludwika XVIgo. Oboje klęczeli przed krucyfiksem zawieszonym w ołtarzu; jeślibym kiedy pragnął uosobić wielką boleść i poświęcenie odmalowałbym postacie tych starców.

(1) Duarnenez kraj wysp. Należy do wyspy Tristan, położonej wprost zatoki.

— Czy znasz ich?— zapytał Robert zakrystyana.

Zakrystyan z rodzajem przestrachu, odrzekł półgłosem:

— To jest obłąkana z Duarnenez, i jój mąż!

— Jak to!—wykrzyknąłem, ta kobieta jest obłąkana?....

Jój oblicze tak spokojne!

— Jak będziecie w mieście—odrzekł zakrystyan, zapytajcie się o mego wuja Hervé Ledirec, sternika, on wam opowie historią tój obłąkanój, którą codziennie o wieczornój porze ujrzenie przechadzającą się po płaszczyźnie Treboul z kawałkiem chleba razowego i świecą woskową w ręku.

Zapisałem starannie nazwisko sternika, i rzuciwszy raz jeszcze spojrzenie na starców, wyszedłem wraz z mym towarzyszem na galerią dzwonnicy.

Wieżyczki i okna pierwszego piętra, wznoszą się z śmiałością pełną wdzięku. Dzwonki piętr wyższych tworzą grupę spoczywającą u stóp szczytu wielkiej wieży, która gubi się w obłokach. Ozdoby architektoniczne dwóch galerii misternie rzeźbione. Z wierchołka drugiej galerii, wspaniały i cudowny roztoczył się widok.

Podstawa drwonnicy wyniesioną jest o 240 stóp po nad morzem. Sama dzwonnica trzyma 160 stóp wysokości; góruje więc nad zatoką Duarnenez o 400 stóp. Jest to najpiękniejsza panorama widoków dzikich i nadmorskich, obejmująca 200 wiosek tak rozsypanych po skałach, że oko dojrzyć ich nie może. W środku rozciąga się zatoka jak jezioro, które jest najpiękniejszą w Europie kaskadą, spadającą jakby szerokim, śnieżnój białości, obrusem.

Teraz zatoka Duarnenez uśpiona a kołysana łagodnym powiewem wiatru zachodniego, przyodziła się w najświetniejszą srebrzystą suknię, przyozdobioną w około frędzlą z błyszczącój piany, którą wybrzeża i skały podnosiły jak falbanę z przepysznój koronki.

Wyspy szare zdawały się pływać po powierzchni wody, jak kołyski z granitu. Ménez, Hom i Motta górowały dumnie i poważnie nad skałami pod ich stopami. Niezliczona liczba małych łódek, z żaglami czerwonymi i ciemnymi, błąkała się w dali: byli to rybacy zajmujący się połowem sardeli.

Robert pod wpływem wspaniałego widoku i urokiem tak czarującego miejsca, nie chciał je opuścić; namówiłem

go przecie i zaprowadziłem na cmentarz parafialny, do grobu, na którym był napis:

„Tu spoczywa doktor Laënnec.”

Sławny był to lekarz, nieustrudzony w poświęceniach dla ludzkości, a z tak gorącym uczuciem dla miejsca rodzinnego, że czując się słabym, mimo grożących mu niebezpieczeństw i długiej podróży, kazał się zawieźć do Duarnenez aby spocząć w ziemi ukochanej. On to przekazał na własność kościoła przepyszną statuetkę Chrystusa, dłuta Kanowy, który otrzymał był w darze od kardynała Fesch'a. W kilka minut później, byliśmy w Duarnenez. Dalsze miasto jestto gromada domów starych, przesiąkniętych duszącą wonią z tłoczonych sardeli. Mężczyźni i kobiety przechodzą się bezustannie z koszami ryb pełnemi.

Miasto górne o wiele schludniejsze, posiada nawet piękne gmachy, budowane przez bogatych właścicieli okrętów.

Pragnąc jednocześnie poznać historią obłąkaną, i obznajomić Roberta z połowem sardeli puściłem się na odszukiwanie sternika Hervégo: znaleźliśmy go w głębi okrętu *Ulliac*, wśród kłębu dymu i stosu butelek.

Jeżeli starcy, których widzieliśmy w kościele, wyobrażali stuletnich, to Hervé zdawał się mieć półtora wieku. Głowa jego była zupełnie łysa; nos zakrzywiony jak dziób kormorana, na brodzie zaledwie kilka białych włosów, a twarz cery żółtej, wyprazona wiatrami morskimi, skwarem słońca i ulewami deszczowemi, skurczona była i pomarszczona. W jednym ręku trzymał fajkę, drugą zażywał tabakę.

Kiedy powstał z miejsca aby skłonić się na nasze powitanie, zostaliśmy zdziwieni siłą jaka jeszcze ożywiało to ciało zgięte we dwoje, i błyskami ocz zapadłych i wklęsłych.

Umowa nasza z tym marynarzem nie trwała dłużej nad kwadrans czasu; trzy kieliszki araku i dwie sztuki pięciofrankowe w zgodny ją sposób zakończyły. Nazajutrz o świcie mieliśmy ruszyć na połów sardeli z sternikiem i jego synem, na szalupie *Margoite*, a po powrocie z téj wycieczki, starzec miał nam opowiedzieć historią obłąkaną.

Ze wschodem słońca stawiliśmy się na miejscu; Hervé już nas oczekiwał. Około osiemset łodzi napełnionych trzema tysiącami ludzi, odpłynąć miało od brzegów. Kiedy

wreszcie wyruszyły w drogę, zaczęły się wyścigać tak szybko, że trudno było dojrzeć wody, a rybacy wołając na siebie z daleka, ścigali się od jednego brzegu do drugiego.

Był to obraz zajmujący i pełen życia!

Nasza szalupa wiozła ośm sieci, piętnaście sążni długich a pięć szerokich, i mnóstwo beczulek stokfisz z Norwegii: tém się bowiem nęca sardele.

Są to jaja ryby zwanéj *dorsz*, solone, i mocną woń wydające, przywożone z Bergu, statkami z Nordland. Każde jajko jest téj objętości, co główka małej śpilki. Miliony ich mieści się w torebkach błonkowych, jakie je pokrywają. Przechowują się od roku do roku, ale sardele rozróżniają świeżość po zapachu, i chciwe pokarmu rzucają się w sieci na nich zastawione.

W pół godziny później, siedemset łodzi z rozwiniętymi żaglami płynąc małemi gruppami, rozsypało się po szerokiej zatoce.

Statki z Croson w liczbie ośmiuset przyplnęły jednocześnie, i ta flotta złożona prawie z dwóch tysięcy łódek, znikła na obszarze wody. Wzrok retmanów tak już wprawny, zagłębiał się w przezroczystych falach. Słuch ich również drażliwy jak słuch dzikiego, badał pilnie najmniejszy szelest. Każdy z nich obrał sobie miejsce, stosownie do spostrzeżeń, i ściągnął żagle do masztu. W téj samej chwili, słońce wschodząc ze strony gór Lazernau, ukazało oblicze purpurowe, rozpędziło mgłę, i w mgnieniu oka ogarnęło jasnym światłem wybrzeże, oblewając całe morze bladoróżowym płomieniem. Wspaniały to widok, i trudno wzroku oderwać od tyle uroczego qbrazu. Sędziwy sternik wraz z synem, z którym dzielili się na przemian dowództwem statków, zatrzymali łodzie. Zarzuciliśmy sieci, a rozsypawszy w nich stokfisz, ujrzelismy jak sardele zwabione zapachem, przyplwały z głębi zatoki, srebrzystemi szeregami i rzucały się z chciwością przez oczka sieci, szamotając się w nich gwałtownie. Ta walka która ich wikła i płące coraz więcej, odrywa im łuszczkę, wznoszącą się jak pianka z masy perłowej. Błyszczcy ona przez chwilę na wodzie, i opada w przepaść. Czasem te zastępy żarłoczne, wsuwające się do sieci są tak liczne, że pociągając za sobą, zatapiają ją swym ciężarem.

Po upływie dwóch godzin, rybacy podnieśli sieci przepelnione zdobyczą, i wydobywali miliony sardeli, rzucając je do łodzi.

Kiedy nasza była już do połowy napełniona, zbliżyłem się z Robertem do Hervégo.

— Jak widzę, mój dobry starcze—rzekłem—połów będzie wybornym; odpocznij więc, a opowiedz nam historią obłąkaną.

Pomimo że już sześćdziesiąt lat upłynęło od epoki, w jakiej te wypadki miały miejsce, starzec wzruszony wspomnieniami, potrzebował zaczerpnąć sił z butelki wódki, zapalił fajkę, i tak zaczął opowiadanie, które wiernie podajemy:

„Sześćdziesiąt lat minęło od wypadków które wam opowiem; historia ta bowiem sięga 1795 r. Rok ten nieszczęśliwym był dla Duarnenez, lubo cena sardeli była bardzo wysoką. Ze wszech stron mówiono o klęskach i niedoli, a na gościńcach więcej było żebraków jak mieszkańców w chatach.

W siedzibach jakie ocalały, mieścili się tylko wdowy, a w kościołach, których ogień nie zniszczył, mieścili się konie należące do garnizonu. Chodziliśmy co noc każdej niedzieli, słuchać mszy św. w grocie Morgat, gdzie ksiądz i wszyscy otaczający go stali w kółce, a wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa oparty był o skałę. Ta skała którą ztąd panowie możecie dojrzyć, nazywa się do dziś dnia *ołtarzem*.

Jednego wieczora, strudzony połowem sardeli, udałem się wcześniej na spoczynek; zastukano do drzwi: pobiegłem otworzyć, i ujrzałem przed sobą młodą dziewczynę i starca, którzy mnie prosili o schronienie. Dziewczyna piękna jak anioł, przybraną była w mały czepeczek i strojny gorsecik kobiet z Pont-l'Abbi. Starzec był rybakiem, sądząc po jego ubiorze; ale skoro lepiej mu się przypatrzyłem, zamiast podać rękę, rzuciłem się do nóg jego.....

Zaraz dowiecie się dlaczego.

Żona moja i cała rodzina poszła za moim przykładem, i podróżni zostali umieszczeni w dwóch pokojach, najpiękniejszych z całego naszego domu.

— Przyjmuję z wdzięcznością twoją gościnność—rzekł do mnie starzec—ale pod warunkiem że będę dzielił twoją pracę, i że tak ja, jak córka moja, pozostaniemy dla wszystkich, ona prostą wieśniaczką Małgorzatą, ja biednym rybakiem Julianem Kerloi.

Chciałem sprzeciwić się, ale łyzy przecięły mi mowę, i trzeba było ustąpić gdy starzec wyrzekł do mnie:

— Idzie tu o moje życie, i o twoje!.....

Moje mało mnie obchodziło; ale życie mego gościa!.....

Julian i Małgorzata (tak trzeba było ich nazywać), stali się towarzyszami naszych rybackich wycieczek, i podzielali nasze trudy. Serce krwawiło się na widok rąk starca, pokaleczonych ostremi linami, i jego białych włosów, zlanych znojnym potem, albo zimnemi kroplami deszczu. Pomimo wszelkich przybranych przez niego ruchów, mowy, a nawet używania przysięg właściwych prostym rybakom—zachował godność, która mu zyskała nazwę króla szalupy. Małgorzata była równie szanowaną, i wszyscy kochali ją całym sercem. Mieszkańcy Duarnenez nazywali ją swą królową. Wśród niezliczonego grona towarzyszek, ona była najpiękniejszą; wszystkie gasły przy niej, jak gwiazdy przy dniu jasnym: rybacy oddaliby życie za jeden uśmiech jój, a jednak żaden nieśmiały jój tego wyznać.

Szlachetność jój ruchów, wdzięki wymowy, nawet prostota i łagodność, aż do delikatności rysów i białości rąk jój: wszystko wzbudzało uwielbienie i nakazywało uszanowanie.

Dwa miesiące pobytu ich w domu moim, upłynęło spokojnie i bez żadnych wypadków; odwiedziny tylko opata Pleumez, ukrywającego się w bliskości nas w Locrenon, zmieniały zwykły tryb życia. Zwykle przynosił on tajemne wiadomości. Jednej nocy udzielił tak ważnych nowin, że Julian i Małgorzata, niekładąc się na spoczynek, modlili się do rana; poczem Julian uchwycił pistolet, który wisiał nad jego łóżkiem, i chciał wraz ze mną udać się w drogę. Stan zdrowia i błagania córki zaledwie go zdołały zatrzymać.

Tego samego dnia otrzymaliśmy z Quibérou wiadomość, że emigranci wylądowali tam, i całe Morbihor broń podniosło.

Nasi goście przebyli dni następne w ciągłej obawie. Skoro Małgorzata dowiedziała się o klęsce zadanój emigrantom, wpadła w stan omdlenia, a następnie nie powstrzymując już ojca od wyjazdu, postanowiła bez zwłoki jechać z nim razem.

Noc była późna, wiatr sprzyjał zamierzonój podróży, a łódka była gotową. Julian uzbrajał się, a Małgorzata zawieszała na szyję mały krzyżyk z dyamentami, kiedy nagle pies zaszczeakał i usłyszeliśmy odgłos obcych kroków. Jakiś młody człowiek, wszedł niestukając do drzwi, rzucił się w objęcia ojca, a córkę przycisnął do swych piersi.

— Fryderyk!.... Taki był wykrzyknik starca i jego córki.

Podróżnym był śliczny młodzieniec, szlachciec od stóp do głowy. Miał na sobie mundur oficera Rzeczypospolitéj, który mu służył za przebranie. Poznał on mnie natychmiast, i ścisnął dłoń moją ze łzami wdzięczności, a ja rozplakawszy się, zapytałem czy już nie wyruszymy do Quiberon? Małgorzata zarumieniała się, starzec potrząsnął głową z uśmiechem, ale młodzieniec rzekł do mnie pocichu:

— Zatrzymaj jednak twą łódkę; może ona dla mnie będzie potrzebną... I dał mi znak milczenia.

Twarz jego przed chwilą rozpromieniona, tak się pochmurzyła, że zadrżałem, lbo nie wiedziałem przyczyny téj zmiany.

Nazajutrz, równo ze świtem, posłano mnie do Quimper, po mego brata Jana, i do Locronau po opata Plomeur, który przybył ze mną, i zamknął się z moimi gośćmi.

— Mój przyjacielu—rzekł do mnie Julian, powrócisz do nas za godzinę, wraz z twym bratem: przybierzcie wasze świąteczne ubiory.

W godzinę później, wszyscy byliśmy zebrani w pokoju Małgorzaty. Nigdy przedtém ubogi mój domek nie widział takiej uroczystości, i nie zobaczy już więcej podobnych godów. Pokój ten był obity suknem i przystrojony kwiatami jak ołtarz. Ile tylko znalazło się w naszych kufrach i szafach batystu, koronek, aksamitu i jedwabiu, wszystko to użytém było na przyozdobienie. Stół okryty ślubną suknią mojej matki, wyobrażał ołtarz, przed którym stał ksiądz

Plomeur, w komży i ze stułą, a przed nim Małgorzata z Fryderykiem.

Ubiór jej wieśniaczy zastąpiła suknia z muślinu indyjskiego ozdobiona bogatemi koronkami. Długi welon, spięty bukietem pomarańczowym, spadał od warkoczy splecionych w koronę, aż do stóp. Jakże ona była piękną, Wielki Boże! trzeba było na klęczkach patrzeć w jej oblicze!

Julian siedział obok córki. Miał na sobie mundur szambelana dworu, szabla przy boku i krzyż Śgo Ludwika błyszczał na jego piersi. Wyobrażał króla który na tron wstępuje po raz drugi.

Ksiądz Plomeur rozpoczął śliczną przemowę do państwa młodych, później pobłogosławiwszy złote obrączki oddał je Fryderykowi, który jedną z nich wsunął na palec Małgorzaty:

— Panie margrabio Talhonaru — rzekł natenczas Opat do Juliana — przyzwalasz więc w obec braci, Hervego i Jana Ledivec, na małżeństwo twój córki?

— Przyzwalam — odpowiedział margrabia.

— Panie wicehrabio Fryderyku Lisconet — mówił dalej — bierzesz za małżonkę pannę Małgorzatę Talhonaru, tutaj obecną, i przyrzekasz jej przed Bogiem opiekę i wierność?

— Tak, do ostatniej chwili mego życia — odpowiedział wicehrabia.

To samo pytanie, i ta sama odpowiedź udzieloną była Małgorzacie.

Uważałem jednak wielką różnicę między oblubieńcami.

Małgorzata była rozpromieniona i śmiałym głosem odpowiadała; wicehrabia był przerażająco bladym, i drżał wymawiając słowa: do ostatniej chwili mego życia!

Ja sam zadrżałem, przejęty złowrogiem przecuciem...

Po obiedzie każdy przybrał ubiór dawniejszy, i poszliśmy zwiedzać składy naszych sieci i koszów, bo wicehrabia chciał widzieć wszystko co było zajęciem Małgorzaty.

Jaka była radość wszystkich, trudno opisać. Patrząc na ich szczęście, można było rozczulić serce ze skały. Ja co posiadałem duszę tkliwą zmuszony byłem aż odejść, ażeby się napłakać dowoli; wicehrabia korzystał z tej chwili, i pociągnął mnie do ciemnej groty.

Przy tych słowach, starzec Hervé zatrzymał się; zdawało się że siły go opuściły: zimny pot pokrył jego czoło.

— Ach! jak to okropnie—wyjąknął—wszystko tak żywo przedstawia się mój pamięci.

I dalej mówił:

„Pięć lat przedtém, służyłem w Breście u margrabiego Talhonaru. Moja żona wykarmiła jego córkę. W 1793 r. ocaliłem go, z całą jego rodziną od gilotyny, i wszystkich uprowadziłem do Anglii. O! nie wszystkich. Jeden z synów pana Talhonaru, opuścił go, ażeby pozostać po stronie przeciwnej, a widząc ojca z siostrą emigrującemi, znieważył ich dotkliwemi słowami. Margrabia ciężką uczuł boleść, i odtąd nie słyszano o wyrodném dziecku. Wicehrabia Fryderyk Lissouet spotkał się w Anglii z rodziną Talhonaru. Pokochał pannę Małgorzatę, która mu była wzajemną. Już byli zaślubieni umową, kiedy w wigilią ślubu, jaki miał się odbyć w kościele, wicehrabia otrzymał rozkaz udania się do Quiberon, z pułkiem który mu oddano pod dowództwo. Musiał spełnić polecenie, a Francję obrał za miejsce spotkania się z rodziną Talhonaru. Wyprzedzili oni jego przybycie, i zawitali do mnie pod strojem rybackim, wieść życie jakie wam opisałem, a wicehrabia który wiedział o ich schronieniu, złączył się z niemi w domu moim.

Ślub odbył się jak opowiedziałem, a w parę godzin, wicehrabia wzięwszy mnie na bok tak przemówił:

— Hervé, byłeś po razy dwa opatrnością dla rodziny Talhonaru. Obecnie mogą potrzebować twój pomocy więcej jak kiedykolwiek. Przrzeknij mi, że nigdy nie opuścisz Małgorzaty.....

— Może być pewną mego poświęcenia, w życiu i przy śmierci.

— Ale czy pan zamierzasz opuścić ją?—zapytałem.

— Może..... Nie należę do siebie..... Dzisiaj..... jutro.... za godzinę.... za chwilę, mogę być jój wydartym..... na zawsze.....

Oto jest powód dla którego prosiłem ciebie (i nie zapomnij o tém) ażeby twoja łódka pozostała do mego rozporządzenia.....

— Panie!—wykrzyknąłem—ukryłeś przed nami tajemnicę twoją..... ale ja ją czytam w twych oczach. Tyś nie

ocalał ucieczką jak to mówiłeś!... Ty Panie wzięty zostałeś w niewolę z bronią w rękę! Mamy wiadomości że dwa tysiące niewolników skazanych zostało na śmierć, że niektórzy z nich wolni są na słowo honoru, do chwili wykonania wyroku.... Panie! ty jesteś jednym z nich?...

Wicehrabia schylił głowę, i przez chwilę milczał.

Następnie podniosłszy na mnie wzrok swój — Tak jest — rzekł z wyrazem boleści. Ponieważ odgadłeś moje położenie, potrafisz zrozumieć boleść moją! Chciałem przed śmiercią dopełnić związku, jakim w obec ludzi złączeni byliśmy. Chciałem zaślubić ją przed wrotami nieba, i z téj ziemi bólów, przejść w wieczność z wspomnieniem chwil uroczych. Błogosławieństwo małżeńskie było dla mnie ostatniem namaszczeniem, a dla niej będzie jedyną po méj stracie pociechą!

Jeden z oficerów rzeczpospolitéj zrozumiał mnie, użył mi tego munduru, i kilka godzin wolności.... W zakład dał swoją głowę.... On mnie zawiadomi w chwili strasznój. Przy boku Małgorzaty, oczekuję wezwania na śmierć!...

Czułem się tak pogrzebiony, że słowa wymówić nie mogłem.... Powtarzałem tylko: To okropne! to okropne! I oczu podnieść nie śmiałem, ażeby nie spotkać wzroku p. Lissouet.

Uściskał moje drżące dłonie, polecił mi na nowo pod przysięgą, zachowanie tajemnicy, i raz jeszcze wzywał méj opieki dla swéj żony.

Poczém podwoił kroku i rzekł:

— Złączmy się z nią co prędzej: chwile jéj radości są policzone.

Zwierzanie wicehrabiego przyniosło mu pewną ulgę. Przez cały czas przechadzki z Małgorzatą był on rozpromieniony. Tyle odwagi i wyrazu szczęścia jakim jaśniało jego oblicze, mieszało mój umysł. Oboje bawili się kwiatami i muszlami. Śpiewali piosenkę panny młodej, a nam kazali powtarzać wszystkie strofki. P. Talhonaru zdawało się że odmłodził o lat dwadzieścia. Nowozaślubiona biegła od ojca do męża z czarującym uśmiechem i wyrazem najwyższej radości.. Wieczór ten zakończyliśmy tańcem bretońskim, który nam panna młoda poleciła wykonać na trawniku obok naszego domku.

Zdawało mi się widzieć widma skaczące po grobach, i nie mogąc dłużej wytrzymać, uciekłem zanosząc się od płaczu.

O dziesiątej zebraliśmy się wszyscy, aby podług zwyczaju zmówić wspólnie pacierz wieczorny.

Połowę nocy przepędziłem na modłach, błagając Wszechmocnego o miłosierdzie dla Małgorzaty.

Chciałem zasnąć, ale nie mogłem. Co chwila zdawało mi się że wicehrabia zbiega ze schodów, albo ucieka oknem.. Jeżeli zdrzymałem się, miałem widzenia straszne, i słyszałem strzały padające wpośród ciał skrwawionych. Nakoniec wstałem z posłania i wyszedłem. Niebo zasypane było gwiazdami, księżyc rzucał wkoło łagodne światło; zatoka zaledwie poruszana lekkim powiewem wiatru: cała natura dziwny i błogi przedstawiała spokój. Podniosłem wzrok mój ku mieszkaniu Małgorzaty. Głęboka cisza zaległa schronienie tego anioła: cichy szmer wody zdawał się kołysać mieszkankę tej siedziby, i usypiać ją jak śpiew matki przy kolebce dziecięcia.

Z brzaskiem jutrzeńki, wicehrabia zszedł pierwszy i zapytał mnie czy łódka jest gotową..... Cofnąłem się z przerażenia.... Przemówił do mnie z uśmiechem:

— Uspokój się! potrzebuję jęj, ale jeszcze nie dla siebie samego. Życzę sobie z margrabią i Małgorzatą zwiedzić tę zatokę, którą oni tak często przepływali: ty sam będziesz nas przewoził.

Odetchnąłem uspokojony, i pojechaliśmy.

Pan Talhonaru swobodnego i wesołego był humoru. Fryderyk z Małgorzatą siedząc obok siebie śmieli się i szczerbiotali jak ptaszki co wkoło nich latały.

— Wiesz mój luby—mówiła młoda kobieta—jaki jest najlepszy sposób, ażeby minęły nasze dni trwogi? oto zostać rybakami u dobrego i tak nam szczerze przychylnego Herwego. Mój ojciec już się przyzwyczaił do tego życia. Ty Fryderyku będziesz uczniem naszego sternika, a z tobą i ja stanę się najpierwszym majtkiem zatoki. Posłuchaj, nauczę cię nazwy masztów i różnych obrotów.

I wyliczała je na palcach, każdy oddzielnie nazywając. Później sama zmieniała kierunek naszego statku, zwracając go ku południowi, lub zachodowi. Ja na-

wet byłem jój posłuszny, a wszyscy poklaskiwali na wyścigi.

— Ale do czego to nas doprowadzi?—zapytał wicehrabia z rozżurnieniem.

— Najprzód do ocalenia naszego życia, a potem zapewni nasze utrzymanie. Nigdy twoi nieprzyjaciele nie przyjdą do Duarnenez szukać ciebie pod suknią rybaka. A przytém jest to stan bardzo korzystny. Czasem jedno zarzucenie sieci przynosi 100 franków: zapytaj Hervego, on potwierdzi.

— A więc moja miła, zrobimy majątek,—mówił Fryderyk z uśmiechem—i jakże użyjemy naszych bogactw?

— Rozdamy je pomiędzy ubogich, jeżeli nasze stano-
wisko i majątek będzie nam wrócony; a jeżeli pozostaniemy rybakami, każemy wybudować na wybrzeżu śliczny domek i będziemy mieli własną łódkę.

— Powiedz lepiej wiele łódek: całą flotę!

— Tak jest, ażeby powiększyć nasz handel i przewozić naszych przyjaciół.

— Jak to będzie prześlicznie! Wyprawimy wesela wszystkim nowożeńcom z całej okolicy.

Podczas tej rozmowy, która mi serce rozdzierała, a margrabiego wprowadzała w zachwycenie, dostrzegłem statek który wyruszał z portu z rozwiniętymi żaglami. Przybliżał się do każdej łódki, jak żeby wszystkie chciał przejeżdżać.

Nagle jak strzała skierował się ku naszój. Ja tylko dojrzałem te obroty, i doznałem potajemnej obawy.

Skręciłem w tył łódkę: statek skręcił ku mnie.

Płynąłem na wschód, skierowałem na północ: on obrócił za mną. Oczywiście ścigał nas, i co chwila szybszym pędem dopływał. Lżejszy od mojej łódki, i więcej żagli mający, mógł nas dosięgnąć. Przestрах mój podwoił się kiedy dostrzegłem mundur wojskowy. Niepewność była straszna. Nie mogłem uprzedzić wicehrabiego bez zdradzenia jego tajemnicy, a odkryć ją w takiej chwili, byłoby to zabić Małgorzatę. Oczekiwałem więc strasznego ciosu: uderzył on niebawem. Fryderyk i Małgorzata nachyleni ku sobie, i widząc tylko siebie, byli pogrążeni w najrozkoszniejszych marzeniach, kiedy statek skrzyżował się z naszą łódką, i usłyszałem głos który mówił do wicehrabiego: „dzis wieczór.”

Margrabia nie nie zauważył. Fryderyk zachwiał się jakby pod pchnięciem sztyletu. Małgorzata zerwała się jak ze snu obudzona i wykrzyknęła;—Co to jest? Co do mnie, byłem więcéj umarły jak żywy. Upuściłem wiosło, łódkę wiatr pochylił na bok, zdawało się że zatonie.

Ten wypadek można było nazwać szczęśliwym, bo chwilowe niebezpieczeństwo zajmując wszystkich, dozwoliło wicehrabiemu zwieść żonę, która nie dosłyszała tych strasznych słów, a tém mniej byłaby je zrozumiała. Fryderyk śmiał się z jéj zapytań, i żartował z odwagi *pierwszego majjka zatoki*, który się tak przestraszył jedném pochyleniem łódki.

Tym więc sposobem, ja tylko i wicehrabia byliśmy ugodzeni.

Zapomniałem jednéj okoliczności, która później została mi wyjaśnioną.

Ten co wymówił słowa „dziś wieczór” spojrzawszy na Małgorzatę, wydał szczególniejszy okrzyk zdziwienia, i odbił od brzegu śpieszniej aniżeli do niego przy płynął.

Działo się to o dziewiatéj ranc; pragnąłem przedłużyć tę podróż, a nawet dopłynąć aż do Anglii. Ale wicehrabia dał mi znak rozkazujący ażeby przybić do brzegu, i widziałem że byłby mi wyrwał wiosło, gdybym mu nie był posłuszny. Powróciliśmy więc koło południa. Pierwszy pobiegłem do domu: znalazłem tam mego brata Jana bardzo wzruszonego.

Przed godziną, rzekł on, oficer rzeczypospolitéj przybył tu, i zapytał czy to mieszkanie zajmuje wicehrabia Lissouet? Zaprzeczałem całemi siłami: nie słuchał.

— Nie on sam mieszka u was—odrzekł; zaprowadź mnie w głąb tego domku. Kiedy opierałem się temu, wydobył pałasz, i oświadczając że on tylko może ocalić naszych gości, przebiegł dom cały.

Przybywszy do pokoju Małgorzaty, zatrzymał się blady i drżący.

Przyglądał się wszystkiemu z uszanowaniem pełném bólesci, a kiedy ujrzał małą miniaturę wicehrabiny, wydał okrzyk, i łzy gorące trysnęły mu z oczu. Później przyłożył ją do ust swych, całował pismo Małgorzaty, i jéj roboty ręczne. Nakoniec przeszedł do pokoju margrabiego, ukląkł przed jego bronią zawieszoną nad łóżkiem, uderzył się

w piersi, a widząc mnie zdziwionego temi oznakami rozczenia, zadawał tysiące pytań o rodzinę Talhonaru. Przed wyjazdem zostawił list do wicehrabiego, i te do mnie wyrzekł słowa: „Jeżeli chcesz ocalić p. Lissouet, to zatrzymaj go do jutra, bo jak dzisiaj wieczorem ztąd odjedzie, śmierć go nie minie!”

Wicehrabia przybył w chwili, kiedy brat mój kończył to opowiadanie, oddając mi list nieznajomego. Odebrał go z rąk moich, i przeczytał te kilka wierszy:

„Bądź jeden dzień dłużej szczęśliwym! Otrzymałem nowy rozkaz, podług którego nie dzisiaj, ale jutro oczekuję ciebie.”

Kapitan Romulus.

Wicehrabia był zdziwiony i zamyślony.

Nic nie rozumiałem z całej téj sprawy, ale sądziłem że będę mógł zatrzymać wicehrabiego do dnia następnego. Przez godzinę łudziłem się nadzieją; małżonkowie zamknęli się z margrabią i mieli jakąś naradę. Spodziewałem się że Fryderyk na zasadzie słów skreślonych przez nieznajomego odłoży swój wyjazd, kiedy nagle wyszedł z swego pokoju, idąc wprost ku zamkniętej bramie, przy której wraz z Janem trzymaliśmy wartę.

Małgorzata żegnała go z okna, z uśmiechem pełnym wdzięku.

— Powrócę niedługo—rzekł do niej wicehrabia, obracając się, i kładąc palec na ustach.

Ten uśmiech i te słowa wzbudziły we mnie nadzieję, ale twarz wicehrabiego, w jedném mgnieniu oka zmieniona, ukazała mi istotę rzeczy.

— Panie!—rzekłem—ty idziesz na śmieć! nie puszczę ztąd ciebie!

Pociągnął mnie żywo za parkan, i uściśnął, polecając mi znowu swą żonę.. Trzymałem go w mych objęciach z niewymowną rozpaczą:—Ale, panie—rzekłem—masz czas do jutra!

Jedną ręką zamknął mi usta, drugą odepchnął całą siłą:

— Hervé, ty nie pragniesz mojej niesławy! bądź człowiekiem! i myśl tylko o Małgorzacie...

Zawisłem na jego szyi, nie chcąc go puścić. Brat mój przybył mi na pomoc, ale na próżno!... Wicehrabia nadludzką siłą odepchnął nas od siebie i znikł w głębi wioski.

W chwili kiedy biegłem za nim jak szalony, nie mogąc go dogonić, mój brat który niestety! zupełnie stracił głowę, zaczął krzyczeć pod oknami wicehrabiny:

— Pan Fryderyk nie żyje!

Margrabia i jego córka zeszli z swych pokojów przerażeni temi wyrazami. Jan, który nic nie widział, ani słyszał, powtarzał bezustannie: „Pan Fryderyk nie żyje!”

Kiedy w godzinę później wróciłem do domu, znalazłem Małgorzatę bez przytomności. Ojciec schylony nad nią i milczący, zdawał się przez tę godzinę starszym o lat dziesięć... Jan poznawszy swą nieuwagę i niedorzeczne postępowanie, wił się z cierpienia.

— Niepodobna zatrzymać wicehrabiego! — wykrzyknąłem.

— Tak jest, niepodobna! — rzekł margrabia podnosząc głowę, bo ja sam nie byłbym go zatrzymywał. Spełnił on swą powinność... Obecnie trzeba zająć się moją córką. Posłałem natychmiast brata mego po doktora, i przebyliśmy resztę dnia i noc całą w nieokreślonej obawie i oczekiwaniu. Nazajutrz rano wicehrabina była jeszcze bez przytomności. Doktor który czuwał przy niej, nie był pewny jej ocalenia; oznaki życia były słabe, szeptała tylko słabym głosem: Fryderyk nie żyje!

Wśród tych chwil okropnych, wielki okrzyk dał się słyszeć na dworze... Poznałem głos mego brata, i ujrzelismy go wchodzącego z panem Lissouet! Zdawało się to być snem tylko.

— Ocalony! on ocalony! — rzekł Jan, rzucając wicehrabiego w nasze objęcia. Sądząc że złe już minęło, mój biedny brat ukląkł dla podziękowania Bogu.

Rzeczywiście był to p. Lissouet! nie było żadnej wątpliwości. Widzieliśmy go wśród naszego kółka. Zdziwienie i radość głos nam tłumili... Zapomnieliśmy na chwilę o Małgorzacie... Fryderyk nam ją przypomniał rzucając się do jej nóg.

— Kiedy taki cud spełniony, Boże mój! — wykrzyknął margrabia — ocal także córkę moją!

— Tak, mój ojcie — rzekł wicehrabia obracając się ku niemu. Niebo zwraca ci dzisiaj twoje dzieci.

I wręczył p. Talhonaru list, którego kopią przyłącza-my: „Panie margrabio! Nie śniem nazywać ciebie moim ojcem, może mi pozwolisz używać tego słodkiego tytułu po przeczytaniu tych kilku wyrazów. Przed dwoma laty, kiedy opuszczałeś Francją, zamiast ci towarzyszyć i wspierać, pożegnanie moje było zniewagą dla ciebie i méj siostry. Straszne okoliczności zatarły w sercu mojem wszelkie uczucia. Bog też w sprawiedliwości swéj nie oszczędził mi pokuty. Pałasz który w mojem przekonaniu podniosłem dla sławy, wzbudzał tylko postrach.

„Rząd Francyi zamiast mnie wysłać za granicę kraju, postawił mnie w orszaku prokonsulów, wydających wyrok śmierci. Ostatni wypadek otworzył mi oczy, i odkrył całą potworność mego postępowania. Przeznaczony na straż przy skazanych na śmierć w Quiberon, pomiędzy którymi znajdował się p. Lissouet, uwolniłem go na słowo, aż do dnia wykonania wyroku. Mówił mi że przed śmiercią musi dotrzymać przysięgi, jaką zobowiązał się względem ubogich rybaków w Duarnenez. Ostatnia chwila nadeszła; ponieważ głową moją odpowiadałem za więźnia, sam po niego pojechałem. Ja to go niłem wczoraj na zatoce; tam ujrzałem ciebie wraz z mą siostrą, obok p. Lissouet. Nie mogąc wierzyć własnym oczom, pobiegłem do domu w którym zamieszkujecie, i tam przekonałem się o wszystkim! Poznałem w ubogim domku broń twoją, którą znieważyłem, portret mojej siostry tak nikczemnie przezemnie opuszczonej; dowiedziałem się nakoniec, że ten którego miałem rozstrzelać, jest twoim zięciem! Cios ten byłby ugodził ciebie i Małgorzatę. Tak uzupełniała się miara ciężkich prób moich. Widzę że jeszcze cząstka człowieczeństwa pozostała we mnie, kiedy pragnąłem korzystać z téj strasznej okoliczności. Pisałem do p. Lissouet że może pozostać jeden dzień dłużej, ponieważ wyrok odłożony do dnia następnego. Kłamałem, bo wicehrabia miał umrzeć tego samego wieczora; ale w miejsce jego, i w jego mundurze, siebie postawiłem pod kule moich żołnierzy. To poświęcenie miało okupić błędy moje, kiedy p. Lissouet wier-ny pierwszemu swemu zobowiązaniu, przybył wyswobodzić

mnie od zasłużonej kary, dopominając się o miejsce dla siebie pomiędzy skazanymi ofiarami. Ubiegaliśmy się o zaszczyt śmierci, jak inni ubiegają się o rozkosz życia. Ta szczególna i dziwna walka, rozbroiła naszych sędziów, i wspaniałomyślny wyrok generała Hoche, ogłosił naszą wolność. Jeżeli nie udało mi się ukarać siebie, umiałem przynajmniej ocalić zięcia twego. Siostrze mojej wracam drogiego jęj małżonka, tobie wracam syna godniejszego odemnie tęg nazwy.

Pałasz złamałem i więcęj go nie podniosę. Czy to jest dostateczném do zyskania twójego i Małgorzaty przebaczenia?

Karol Talhonaru.

(były kapitan Romulus).

Ten list wyjaśnił wszystko, ale nie powrócił przytomności pani Lissouet.

— Przebaczam mu — rzekł margrabia. Bohaterstwo jego wynagradza jego błędy. Ale moja córka! Wróćcie mi spojrzenie, słowo, uścisk mego dziecka!

Bóg nie chciał wysłuchać gorących modłów sędziwego ojca.

Kiedy nasze starania i pieczyoty przywróciły Małgorzatę do życia, otworzyła wielkie oczy, ale nie poznała nikogo. Uchwyciła dłoń wice-hrabiego, jakby zupełnie obcego, i prowadząc go ku drzwiom zawołała:

— Fryderyk nie żyje..... idźmy szukać jego ciała....

Upadliśmy z przerażenia.

Pani Lissouet była obłąkaną!

Stary sternik zatrzymał się przez chwilę. Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu; nakoniec z bolesném wysileniem, kończył opowiadanie:

— Margrabia Talhonaru umarł wkrótce potem, syn jego przybył aby otrzymać ojca przebaczenie, i zamknął mu powieki. Poświęcił swe życie wprawdzie bardzo krótkie, staraniom około Małgorzaty, dzieląc je wraz z panem Lissouet. Przy końcu rewolucyi, wice-hrabia odzyskał majątek, lecz rozdał go biednym i na kościoły, z intencją wyblągania powrotu do zdrowia drogiej swęj małżonki. Wszystko było daremném. Jak widzieliście tych nieszczęśliwych dzisiaj rano w Ploaré, tak kraj cały widzi ich od lat pięćdziesięciu,

zawsze błakających się i nierozłączonych. Fryderyk w ciągłym oczekiwaniu i pragnieniu, ażeby Małgorzata poznała go, a ona powtarzając niezmiennie:

— Fryderyk nie żyje! chodź zemną szukać jego ciała!

Tak skończył Hervé opowiadanie, które wzruszyło nas do głębi duszy, i przez długi czas nie mogliśmy o niczem inném mówić, jak tylko o obłąkanej z Duarnenez. Wieczorem, kiedy połów sardeli ukończył się, płynęliśmy z powrotem wzdłuż wybrzeża Treboul. Hervé wskazał nam dwa widma, stojące na płaszczyźnie: poznaliśmy starców z Ploaré.

Pan Lissouet był w swym ubiorze przeszłego wieku, a Małgorzata w żałobnym stroju wieśniaczki. W ręku trzymała chleb czarny, w którym osadzona była świeca woskowa. Świecę zapaliła, rzuciła chleb na morze i wiodła wzrok swój za niemi modląc się na klęczkach.

— Takim to sposobem—rzekł do nas Hervé—szukają na naszych wybrzeżach ciała rozbitków. Utrzymują, że chleb zatrzymuje się w miejscu gdzie ciało pochłonięte. Biedna obłąkana, której zdaje się że jej mąż utonął, przychodzi co wieczór, w każdej porze roku, oddawać chleb swój i świecę niemy falam w Duarnenez.

Boleść nasza była głęboka.... Dwaj starcy szli po płaszczyźnie, idąc za płomiennym chlebem. Odwróciliśmy oczy od tak smutnego widoku.

— O! zapewne nigdy—wykrzyknął Robert—nie było męczarni podobnej téj, jakiej doznaje ów mąż nieszczęśliwy, który od lat pięćdziesięciu, nie poznany przez swą ubóstwianą żonę, wspólnie z nią szuka własnego trupa!

Byliśmy tak znękanii obrazem téj strasznej bolesti, że potrzebowaliśmy oderwać od niego naszą uwagę.

Przepyszny widok, jaki oczekiwał nas u portu, tworzył wielką sprzeczność z tym, który się nam przed chwilą przedstawia.

Noc zapadła. Siedemset statków jednocześnie wracało, każdy oświecony pochodnią, zatkniętą w ładunek ze zbożem. Trzeba zwrócić się myślą ku uroczystościom Wenecyi, ażeby sobie wyobrazić, wśród ponurego półkola przyłasków, tę magiczną iluminację, tak odbijającą się w każ-

dém poruszeniu wody, że zdawała się zaćmiewać światło miliona gwiazd.

W mgnieniu oka, tłum nieprzeliczony kobiet, dzieci i starców, zajął się liczeniem zdobyczy, wypróżniał łódki, kładąc sardele w kosze. Każdy z ubogich dostał po pięć rybek; tym którzy przeliczali, wyznaczono po sto sztuk: reszta była podzieloną pomiędzy kupców okrętowych zajmujących się sprzedażą ryb świeżych i handlarzy ryb tłoczonych w baryłkach. Każdy statek łowi dziennie od 25 do 60 tysięcy sardeli: połów rozpoczyna się w czerwcu, a kończy w październiku.

W przecięciu: licząc lata dobrego i mniej liczego połowu, Duarnenez wysyła 40,000 beczulek tłoczonych sardeli, biorąc 40 do 50 franków za jedną baryłkę, a świeżych do 30 milionów.

P. F.

